

Surogat wsi w mieście

W ogródkach działkowych na Mokotowie

Zaraz po obiedzie wzdłuż autostrady w stronę Okęcia wzma-
ga się ogromnie ruch pieszcy. Do
własnych ogródków dążą ci i te,
co po kilkugodzinnej biurowej
pracy, z największą przyjemno-
ścią, będą podlewać, plewić, ciąć
kwiaty, zbierać pomidory, rwać
owoce. Solidne ogrodzenie z brą-
mą szczelnie zamkniętą, od której
właściciele działek posiadają włas-
ne klucze, broni wstępu obcym.

Przez protekcję powołując się
na znajomych „działkowców”,
zostalam wpuszczona do tego ra-
ju różnobarwnego, podziwianego
dotąd, tylko z daleka, w czasie
samotnych spacerów.

Na wstępie rozkosze dziecięce.
Czego tam niema! Kolobieg, huś-
tawki, karuzela, werenda cieni-
sta, duży plac zabaw. Młodociana
publiczność bawi się tu znakomi-
cie i, co najważniejsze, nie prze-
szkadzają rodzicom w pracy.

Idę pomiędzy działki, które po-
za niskie ogrodzenia siatkowe
przewalają złoto swoich rudbeki,
czerwień dajli i róż. W głębi każ-
dego ogródka jest alstana zielenią
obrońnię, czasem rodzaj domku
z werendą, oknami, tarasem na da-
chu, leżakami. W oknach firanki
o podobnym, wewnątrz ściany udeko-
rowane obrazkami, półeczkami;
gdzieniegdzie widzę koszykowe
meble, całe urządzenie week-
end'owe. Wszędzie prawie o tej
porze jest gwaro; życie wre.
Przyjemną pracę, która jest wy-
poczynkiem mózgow, przerywają
międzydziałkowe rozmowy:

— Jakże pani ma piękne pomidory!
— podziwia sąsiad bez
marynarki, ale za to w okula-
rach.

— Udały się — odpowiada młoda
pani w zielonej pyjamie (jas-
na sukienka i kapelusze wiszą na
haczyku).

— To dobry gatunek; nazywa się
„Perfection”. A u państwa ku-
kurydza już dojrzała?

— Tak jest. Codziennie ją jadamy
teraz. My kresowcy przepadamy
za kukurydzą.

Trochę dalej kwitnie bridge na
rozkładanym stoliku przykrytym
pledem. Na dachu szafirowego
domku ktoś werenduje z roman-
sem w rękę, a w grzędach kwiatów
skłone postacie wyrwywają
z zapalem chwasty. Starszy pan z
siwą brodką zbiera z drzewka do
koszyka zielone renklody, a przy-
nim mała dziewczynka, wnuczka
zapewne, układa w wózku swoje
lalki.

Na skraju działkowego terenu
budują się i zagospodarowywują
nowi dzierżawcy. Upamiętnia-
jąc jednego z nich pozwoliła mi wglę-
bić się w tajniki przedsiębior-
stwa i oto czego się dowiedziałem:
czynniki dzierżawcy działki
300-metrowej wynosi 3 zł. 50 gr.
miesięcznie, czyli 42 złote rocz-
nie. Można wynająć 2 — 3 — 4
działki, o ile chce się uprawiać
większy kawałek ziemi. Są rodzi-
ny, których potrzeby pod wzglę-
dem jarzyn i owoców działki za-

pakują zupełnie. Koszt posta-
wienia altany, czy też domku wa-
ha się od 100 do 400 — 500 zł.
Kto nie chce, lub nie może pozwo-
lić sobie na budowę, zadawała
się zamykaną na kłódkę dużą la-
wą — skrzynią, w której chowa
własne narzędzia. Na miejscu o-
trzymuje się bezpłatnie fachowe
porady, co, gdzie i jak sadzić, od
wykształconych, dyżurujących o-
grodników. Woda do polewania
wszędzie jest niedaleko, gdyż kil-
ka studzien wykopano w różnych
punktach działkowych terenu.

— Dlaczego pan stawia taki
wielki pałac? — spytałam na za-
kończenie swego miłego informa-
tora.

— Istotnie, moja buda będzie
największa — odpowiada z uśmie-
chem. — Bo też i ogródek mamy
spory; obejmuje aż cztery dział-
ki.

— Widzę śliczne małe drzewka:
morele, śliwki, czereśnie.

— Właśnie dziś będę przesadzał

truskawki. A za jakie dwa tygod-
nie, gdy mój pałac będzie już wy-
kończony, mam zamiar w nim no-
cować z soboty na niedzielę, mo-
że nawet z niedzieli na ponie-
dzialek.

— A śniadanie? A obiad? Czy
pan zamierza żyć tu świeżym po-
wietrzem i zapachem róż?

— Nie, bynajmniej. Od czegoż
są termosy i menażki? Wreszcie
można, wracać na obiad do domu
i znów tu przychodzić z kolacją.
Widzi pani, to tak jest: urlop
mija szybko, a i po urlopie zdro-
wo i przyjemnie jest móc obco-
wać z przyrodą. Tutaj każda ro-
ślina oświadcza mi, że obchodzi, ka-
da grządka jest moją, bo ja ją
sam uprawiam, no i mam wraże-
nie, że z każdym drzewkiem wra-
stam miłością w ziemię. W tę na-
szą wspólną ziemię, rozumie pani?

— Rozumiem.

A. Fudakowska

Gorączka wojenna we Włoszech

na rękę Jugosławii i Małej Entencie

Konferencja Ministrów Spraw
Zagranicznych państw Małej En-
tenty, zwołana 29 sierpnia w ką-
pielisku Bled blisko Lublany w
Jugosławii, wzbudza powszechne
zainteresowanie.

Mała Ententa zwołała zebranie
zwyczajne, ale podczas okoliczno-
ści nadzwyczajnych — piszą „Li-
dové Noviny”. Od końca wojny
nie było w Europie sytuacji tak
niebezpiecznej, nie było takiego
napiecia w atmosferze. Małej En-
tenty nie dotyczy bezpośrednio
problem opowania dorzecza gór-
nego Nilu, ale chodzi jej o to,
aby zgodne stosunki między głów-
nymi mocarstwami zachodnimi
nie poniosły szkody, i aby nie ule-
gła rozbić organizacja pokoju,
ponieważ otworzyłoby to naoścież
wrota dla anarchii w Europie.

W dalszym ciągu dziennik za-
stanawia się nad sytuacją obecną
w związku z konfliktem włosko-
abisyńskim, podkreślając, że Cze-

chosłowacji zależy na spokojnym
dokończeniu pracy nad organiza-
cją Europy Środkowej.

Organ premiera ministrów
i największego stronnictwa czecho-
słowackiego „Venko” pisze:

„Rozpatrzenie zagadnień środ-
kowo-europejskich leży w mocy
Francji i Włoch. Mamy tu dra-
liwy stosunek między Jugosławią
a Włochami. W prasie ukazały
się wiadomości, jakoby dojsz-
ło do bezpośrednich pertraktacji
między oboma państwami.

Jest pewne, że ekspansja włoska
na południe osłabi ekspansję wio-
ską na północy i da unormowanie
stosunków środkowo-europejs-
kich. Wypowiedzieliśmy już zdanie,
że z perspektywy pokoju
środkowo-europejskiego miałyby
dodatni wpływ uskutecznienie w
jaknajbliższym czasie politycznego
i gospodarczego porozumienia,
o ile chodzi o Europę Środkową.

Byłaby w ten sposób rozstrzygnię-
ta również kwestja samodzielności
Austrii.

Dzięki paktowi zamskiemu Wło-
chy wzmożniły swe wpływy w Au-
strij i na Węgrzech, ale nie do-
szło dotychczas do bezpośrednich
obrad między Małą Ententą a pań-
stwami, które zawarły pakt rzymski.
Obecnie sytuacja o tyle się
wyjaśniła, że dziś Mała Ententa
brana jest jako całość i że liczy
się na współudział wszystkich
trzech państw w gwarancji samo-
dzielności Austrii. Jest pewne, że
gdyby problem dunajski był już
rozwiązany, nastalaby w Europie
równowaga i nie groziłoby żadne
niebezpieczeństwo w związku z
konfliktem w Afryce”.

Zegarek-cacko na jubileusz Paderewskiego

W dniu 6 listopada r. b., z o-
kazji jubileuszu 75-lecia Ignacego
Paderewskiego, Stowarzyszenie
Weteranów Armii Polskiej w A-
meryce zamierza ofiarować jubi-
latowi w imieniu Polonii amery-
kańskiej piękny dar w postaci
wspaniałego zegarka, ozdobionego
symbolicznymi znakami i napi-
sami.

Tak więc m. in. każda godzina
zastąpiona jest literami z nazwi-
ską jubilat, minuty przedstawia-
ją nuty utworów Paderewskiego
uszk zegarka jest w kształcie li-
ry, a lancuszek składa się z 77
ogni, symbolizujących lata jubi-
lata. Poza to zegarek jest ozdo-
biony drogiemi kamieniami o zna-
czeniu symbolicznym.

Fabryka mydła w więzieniu w Mokotowie

Więzienie Mokotowskie przystą-
piło do fabrykacji mydła na wiel-
ką skalę, ogłaszając przetarg na
12.000 kg. mydła włołowego, oleju
kokosowego lub palmowego
12.000 kg., tłuszczu hartowanego
3.000 kg. i kalafonji — 2.000 kg.

Wigilijny wyrób mydła jest nie-
lada konkurencją dla fabryk pry-
watnych, skoro przetargi dotyczą
surowców w ilościach wagono-
wych.

Na „Syrenie” pod obłokami

Lot balonem kullstym z kpt. Hynkiem

Lecę z Hynkiem! Radosna ta myśl
nie daje mi spać już o piątej rano,
choć start wyznaczony jest na go-
dzinę 9-tą. Pierwsza też przyby-
wam na lotnisko. Napelniane są
gazem równocześnie dwa balony:
„Toruń”, balon wojskowy, oraz
„Syrena” Aeroklubu Warszaw-
skiego. O tej porze oba balony
przypominają jeszcze stożkowate
kopce termitów, do wypełnienia
całego balonu gazem jeszcze da-
leko. Orientuję się, że start nie
nastąpi wcześniej, niż w połud-
nie.

Podniebny lot balonowy dla
prasy zawiązuje inicjatywę
Komitetu Stołecznego L. O. P. P.
Do ostatniej chwili nie jest wia-
dome, ilu pasażerów zgodzi się
zabrać kap. Hynek i czy będzie
wolne miejsce na „Syrenie”.
Więć jeszcze kilka chwil tremy...
czy upragniona okazja nie ominie
mnie... kobietę w ostatniej chwi-
li. Kpt. Hynek pociesza jednak
dziennikarzy, oświadczając, że
zabierze pięciu pasażerów.

START

Siedzimy już w koszu z całym
komfortem, każdy z nas bowiem
otrzymał wypłatany stołeczek.
Ostatnie pożegnania, rady i wska-
zówki, pobożne życzenia w stylu
lotniczym, jak np. „A nabijcie
sobie potężnego guza!”, kilka
pstryknięć aparatów fotograficz-
nych, poczem pada komenda: „Lu-
zuj!” Unosimy się na wysokość
metra nad ziemię. Zohnierze trzy-
mają liny. Jeszcze wyrównanie
wagi kosza przez ostatnie prze-
wieszenie kilku worków balastu,
poczem pada rozkaz kpt. Hyn-
ka: „Puść!”.

Bez najlżejszego wstrąsu, wła-
ściwie bez świadomości ruchu
unosimy się w górę, w ciągu kil-
ku minut osiągając 250 m. Po 5
minutach barograf wskazuje już
500 m. Zupełny prawie brak wia-
tru zarówno przy ziemi, jak i na
tej wysokości utrzymuje nas
przez jakiś czas nad lotniskiem.
Pogoda mglista, bez wyraźnego
zachmurzenia, lecz i bez słońca.
— Dobre warunki do napelnia-
nia gazu, to zarazem murowanie
nieciekawy lot. Ciągniemy się jak
ślimaki — mówi kpt. Hynek.

MRÓWKI! MRÓWKI!

Początkowo lecimy wzdłuż au-
tostrady. W naszym koszu weso-
ło, bo rozpoczęło się właśnie po-
lowanie na mrówki, które obsi-
dły jednego z kolegów na lotni-
sku. Zastanawiamy się, jakie mo-
że być samopoczucie mrówki na
wysokości 800 m. i co czuje, lecąc
z tej wyżyny na ziemię.

Oczywiście zaspujemy kpt.
Hynka dziesiątkami pytań natu-
ry technicznej. Znajdujemy się
z barografem, zawieszonym nad
naszymi głowami, który cichem
tykaniem mąci ciszę przestwo-
rzy. Jeszcze czulszy altimetr, cy-
li wysokościomierz, wykazuje na-
wet najmniejszą tendencję zmia-
ny wysokości. Mały statoskop
wskazuje na równowagę balonu.
Kosz balonu ma nieznaczny ruch
obrotowy dookoła swej osi, tak, że
po chwili tracę orientację kie-
runku lotu. Umykające kontury
Warszawy ukazują mi się kolejno
z różnych stron.

1200 METRÓW NAD ZIEMIĄ

Z 24-ch worków piasku po 15
kg. każdy, zrzuciliśmy już sześć
i plynimy na 1200 metrach. Pod
nami niby owce na łące, szubują
różnej wielkości obłoczki, t. zw.
kumulusy, znamionujące prądy
wstępujące, które i nasz balon
podciągają w górę. Przy braku
świadomości ruchu, orientuję się
już kiedy się wznosimy, bowiem
wyczuwa się bardzo silnie za-
pach gazu nietamowanego przez
opór powietrza. Z chwilą gdy
opadamy i to nieraz z taką szyb-
kością, że w ciągu 12 minut znaj-
dujemy się o 800 m. niżej, wszel-
kie instrumenty zastępuje nam
jeden z kolegów, który wskutek
zmiany uciśku powietrza głuch-
nie i skarży się na ból uszu, jak-
by mu gwoździe wbijano w bę-
benki.

Łapówka ziemianina Rudrofa zredukowała daninę lasową

W głośnej sprawie ziemianina
Rudrofa, właściciela majątku Bro-
dy w Małopolsce Wschodniej, który
ukarany został wielomiliono-
wymi grzywnami i skazany za o-
szustwa na szkodę Skarbu Pań-
stwa na karę 3-letniego więzienia,
dojdzie jeszcze do jednego proce-
su karnego.

Ostatnio zakończono śledztwo
przeciwko Rudrofowi o łapowni-
stwo. Dochodzenie prowadził sę-

DESZCZ DUDNI O POWŁOKĘ BALONU

O godz. 14.30 za Tarczynem,
słońce promieniujące teraz przez
wielon chmur, podruca nas znów
na 1200 m., sześć worków piasku
potęguje nasze wzniesienie się
do 1800 m. Około godziny 15-ej
lecimy już jakby w matowym kło-
szu — dookoła nas gęsta chmura
mlecznej białości. Nawet między
twarzami naszymi leciutka za-
słona mgła, a kula balonu zawie-
szona o 8 metrów nad naszymi
głowami widzialna jest jak po-
przez całun. Ulewny deszcz do-
biega naszych uszu dzięki dud-
nieniu kropki o powłokę balonu,
lecz w ciągu pół godziny ani jed-
na kropka nie dociera do nas,
gdyż balon tworzy potężny para-
sol. Dopiero gdy powłoka nasiąk-
ła, linki sieci tworzą rynienki,
po których woda spływa z gwał-
townością tuszu na nasze nie-
szczęsne głowy. Po paru minu-
tach przemoczeni jesteśmy do nit-
ki, co bynajmniej nie psuje nam
humorów.

— Oto są, tak zwane przez na-
szych meteorologów „przelotne
deszcze” — zauważa kpt. Hynek
po przeszło dwugodzinnym przy-
sznieniu.

DO ŁĄDOWANIA

Balon robi się coraz cięższy. W
nadziei wydostania się ponad
chmury pomimo tak silnego ob-
ciążenia balonu, kpt. Hynek hoj-
ną ręką sypie piasek. Wkrótce
„spizarnia” się wypróżnia, lecz
tu następuje niespodzianka: na
wysokości 1910 m. trafiamy na
prąd ciepłego powietrza, który
osusza powłokę i niesie nas w
górę. Niema jednak rady, trzeba
myśleć o lądowaniu. Jest godzi-
na 18-ta. Z chrzęstem rozwija się
rolka wleczki, grubej liny, która
służy za kotwicę przy lądowaniu
i liczy 60 metrów.

Lot balonu obniża się, wkrótce
dostrzegamy zarysy miasteczka z
ładnym kościołem gotyckim. Na
podstawie busoli orientujemy się,
że lot nasz szedł w kierunku po-
łudniowo-zachodnim. Pada więc
szereg domysłów, co to może być
za miejscowość. Mijamy tor kole-
jowy i jakąś wioskę. Mieszkańcy,
pomimo ulewnego deszczu, tłum-
nie wybiegają na drogi. Wołamy:

— Co to za miejscowość?
— Gorzkowice!
— Jaki powiat?
— Radomskowski!

Wleczka ciągnie się już po zle-

mi, znacząc na polach i błocie wy-
rażną smugę. Już-już dotykamy
koszem ziemi, gdy w ostatnim
momencie balon podrywa się do
skoku, wznosząc się na 150 m.
Dwukrotnie powtarza się ta sytu-
acja, przyczem po raz drugi za-
czepiamy wleczką o wierzbę, roz-
graniczającą dwa bagna, ludz-
co przypominające gładką łąkę.
Kosz przechyla się gwałtownie.
Jednak doświadczenie kpt. Hynka
ratuje nas od błotnej kąpieli. Do-
piero za trzecim razem wraz z
zestknięciem się kosza z ziemią, łą-
dujemy.

Pomimo rozkoszy lotu, z przy-
jemnością nawiązujemy kontakt z
ziemią, a raczej błotem, bowiem
w miejscowości tej leje od płę-
tej rano, a wyładowaliśmy o 18
min. 15. Otacza nas momentalnie
cała ludność pobliskiej wsi Li-
powczyce. Po kolana w błotku, z
energją pakujemy balon, by po
sześciu godzinach wysiłku, w ci-
emnościach dotrzeć do stacji
kolejowej w Gorzkowicach, odle-
głej o 12 km. od miejsca naszego
lądowania.

Marja Zawadzka.

Z teatrów

Walka kobiet Komedja Scribe'a i Legouvé w Teatrze Narodowym

Z „Walki kobiet” to tak, jak z
dobrze podstarzałą, a niedys-
interesującą kobietą. Usmiarkowa-
na estetyczną inscenizacją, ubra-
na w doskonałą obsadę olśniewa
tym sztucznym zastrzykiem
młodości i na przeciąg jednego
wieczoru może zająć. Wystarczy
ją jednak pozbawić w wyobraźni
tego wszystkiego, a przestraszy
starczymi wiadom.

Sama anegdota „Walki kobiet”
ma nawet w sobie dużo nerwu sce-
nicznego. Akcja toczy się we Fran-
cji socjalistycznej, w parę lat po
upadku Napoleona. Pewien młody
człowiek, niesłusznie oskarżony
przez władze o udział w spisku bo-
napartystów, ukrywa się w prze-
braniu lokaja w pałacu przyjaciół-
ki swojej matki, hrabiny d'Antre-
val. Tajemnicę tę znają dwie tył-
ko kobiety — hrabina i jej młoda
siostrzenica, Leonja. Obie kocha-
ją Henryka. Miłość Leonji jest
świeża, naiwna, szesnastoletnia
dziewczyna nie umie opanować
trwogi, jaka ją ogarnia, gdy w pa-
łacu zjawia się prefekt poszuki-
jący zbiega. Ale co popsuje niedo-
świadczona Leonja, naprawi jej ci-
ciotka. Dzięki niezwykłemu opa-
nowaniu ratuje Henryka, myśląc
że ratuje go dla siebie. W rzeczy-
wistości ocala go dla siostrzenicy,
bo wychodzi najaw, że Henryk ko-
cha Leonję, a starzejacą się hra-
binie może ofiarować miłość tylko
przez wdzięczność.

Całą tą historję przyozdobił
Scribe niesłychanym patosem. Ka-
pie wprost szumem frazesami.
Nie chcąc pewnością skarykatur-
ować manjery romantycznej,
skarykaturał ją Scribe mimo-
woli. Sam Victor Hugo mógłby po-

zazdrościć tyrad, wypowiadanych
w „Walce kobiet”.

Mimo to przedstawienie w Tea-
trze Narodowym udało się. Reży-
ser i aktorzy zasłużyli na pełne
uznanie. Napuszonosc stylu zto-
nowała się w całości, manekiny
nabrały życia. Staruszka kokie-
towała i bawiła.

Emil Chaberski bardzo do-
brze wywiązał się z trudnego i du-
żego czujności wymagającego za-
dania. Słusznie wysunął na pier-
wszy plan wykonanie aktorskie
utrzymał komedję we właściwym
romantycznym stylu.

Rolę hrabiny d'Antreval, posta-
dającą najświetniejsze tradycje
aktorskie, grała Mieczysława
Cwiklińska. W pierw-
szych scenach niezupełnie jeszcze
zdecydowana, jaki wzięć ton, od
chwili wielkiego monologu w ak-
cie pierwszym rozwinęła niepo-
równany kunszt aktorski. Eżble-
ta Barszczewska jeszcze
raz dowioda, że jest jedną z naj-
zdolniejszych artystek młodego
pokolenia, posiadającą wszystkie
warunki, aby wystąpić w roli Ju-
lij, czy Ofelji. Zdolności Bar-
szczewskiej idą wyraźnie w kie-
runku wielkiego reportażu kla-
sycznego. Dobry również wieczór
miał Tadeusz Wesołowski
kapitałny de Grignan, zakochany
w hrabinie. Leon Łuszczewski
był romantycznym kochan-
kiem, a Brydziński, jako pre-
fekt, z wyrazem prowadził swoje
poszukiwania.

Ładne stylowe wnętrza Jaroc-
kiego. Dobry przekład Jana
Ło:entowicza.

Jerzy Andrzejewski.

STAJĘ PRZED SĄDEM

Zupa

Znany pisarz Tristan Bernard
przyszedł kiedyś do restauracji i
kazał sobie podać obiad. Podano
mu zupę. Pisarz siedział chwilę
spokojnie, spoglądając na talerz,
naraż zawał kelnera i powie-
dzał:

— Nie mogę jeść tej zupy!

Kelner, znając znakomite go-
ścia, zabrał nieszczęsnego talerz i
zapropował inną zupę. Tristan
Bernard zgodził się, ale gdy zupę
przyniesiono, znowu zawałował:

— Nie mogę jeść tej zupy!

I tym razem kelner bez słowa
protestu zabrał talerz i przyniósł
trzeci rodzaj zupy. Ale gdy pi-
sarz znowu nie jadł i znowu po-
wiedział:

— Nie mogę jeść tej zupy!

Zdenerwowany kelner poprosił
zarządzającego, aby porozumiał
się z kapryśnym klientem.

Zarządzający zdziwiony zbliz-
sił do stolika i rzekł uprzejmie:

— Nie rozumiem dlaczego szan-
owny pan nie chce spróbować
naszej zupy. Ta, którą tu widzę
na talerzu, to właśnie nasza spe-
cjalność i wszyscy nasi klienci
gratulują nam spowodu tego da-
nia.

— Nie przeczę — odparł pi-
sarz. — Jestem nawe pewny, że

zupa jest świetna. Nie mogę jej
jednak jeść, bo nie mam tyżki.

Podobną, — choć różniącą się
w szczegółach — historję przeżył
Jan Banasiak, wstąpiwszy na o-
biad do baru „Pod zieloną papu-
gą”. Podobieństwo polegało na
tem, że również nie mógł jeść zu-
py, którą mu podano. Powody te-
go postanowienia były jednak in-
ne.

W zupie bowiem, która się na-
zywała „ala szamponjou” i miała
być zdaje się — grzybową, za-
miał grzybów, znalazł nasz gość
spory pęczek włosów, oraz na do-
datek — rogową szpilkę. Dobrze
musiała sobie kucharka łamać
głowę nad tą zupą! Widać było
również kokieterijna nazwa „ala
szamponjou” wzięła swój począ-
tek nietylko od grzybów, ile od
szamponu do mycia włosów.

Jana B. nie to wszystko nie
obchodziło, obeszła go tylko nie-
chlujność, z jaką się spotkał. A
ponieważ swoim oburzeniem po-
dzielił się z władzami, więc w re-
zultacie właściciel baru, Euge-
nusz Marjan, dwójga imion Gwi-
zdalka skazany został za nieutrzy-
mywanie porządku w kuchni na
2 tygodnie aresztu z zamianą na
grzywnę.